

Podsumowanie roku 2019 w teatrze telewizji

3 stycznia 2020

0 teatr w Teatrze Telewizji. Głos wołającego na ulicy Woronicza.

Chciałbym, aby tytułowa fraza zabrzmiała cokolwiek tak, jak parafraza znanych tytułów – komedii filmowej „Gdzie jest generał?” Tadeusza Chmielewskiego i słynnego przed dziesięcioleciem przeboju piosenkarskiego „Gdzie ci mężczyźni?” w wykonaniu Danuty Rinn.

W tym pierwszym „generał” niby był, a jakby go nie było. W piosence mężczyzn było niby pod dostatkiem, a też jakby ich nie było, o czym świadczyło rozpaczliwe wołanie artystki.

Pod koniec czerwca, powodowany zadawnionym nawykiem kronikarskim starego widza i fana Teatru Telewizji, z metryką sięgającą 1965 roku, planowałem dokonać podsumowania pierwszego półrocza 2019 na telewizyjnej scenie, ale zrezygnowałem, bo mi ręce opadły.

Nie dlatego, że spektakle na telewizyjnej scenie są źle zrealizowane czy źle zagrane. Spora część z nich jest warsztatowo, realizacyjnie na niezłym poziomie, a kilka przedstawień można uznać za bardzo pod tym względem dobre, a nawet bardzo dobre.

Jednak nie w jakości profesjonalnej jest problem, tym bardziej, że współczesne techniki produkcji widowisk telewizyjnych bardzo ułatwiają pracę twórcom i ogólny poziom generalnie się podwyższył w stosunku do czasów siermiężnej technologii. Problem jest gdzie indziej.

W Teatrze Telewizji nadal króluje nie teatr, ale publicystyka i widowiska historyczne, konstruowane z ujednoliconej pozycji ideowo-światopoglądowej, którą – umownie – można nazwać

prawicowo-nacjonalistyczną. Ta publicystyka bywa czasem nawet nieźle zrealizowana, ale jednak pozostaje tylko publicystyką, a ta, niejako z definicji, nie tylko nie jest teatrem, lecz jego przeciwieństwem.

Jeśli nawet nie jest to publicystyka w stanie czystym, to są te przedstawienia o tematyce historycznej, publicystyką mocno zabarwione. Do tej oferty doszło, zwyczajowo, jak każdego roku, kilka powtórek.

Zróbmy pobieżny, niekompletny, bo nie mam ochoty być szczególnie skrupulatnym rejestratorem przedstawień, przegląd tego, z czym mieliśmy jako widzowie do czynienia w kończącym się roku (w końcu zebrałem się w sobie, by jednak dopełnić tego niespecjalnie fascynującego zadania, wynikającego z wewnętrznego poczucia obowiązku, a może raczej powodowany pedanterią). Oto niektóre przedstawienia.

Polityka historyczna i publicystyka rządu

„Listy z tamtego świata” Anny Wieczurr-Bluszcz, oparte na prozie wspomnieniowej Kornela Makuszyńskiego, dotyczącej świata ziemiaństwa, jego rzeczywistości materialnej i duchowej. „Ekspedycja” Wojciecha Adamczyka według sztuki Rosjanina Wiktora Szenderowicza, to z kolei publicystyka reportażowa z zacięciem satyrycznym, osnuta wokół działalności humanitarnej ONZ. „Cena” Jerzego Zelnika według Waldemara Łysiaka, to moralitet z tłem biblijnym, z akcją usytuowaną podczas niemieckiej okupacji.

Z kolei „Wiktor” Ewy Pytki według sztuki Joanny Murray-Smith, to banalna „obyczajówka” wokół rozrachunków małżeńskich.

„Paradis” Andrzeja Strzeleckiego, to retrospekcja historyczna nie bez sentymentu sięgająca do czasu schyłku II

Rzeczypospolitej, połączenie wątku kryminalnego z ewokacją przeczuć katastrofy Polski, towarzyszących aurze „balu na Titanicu”, w scenerii lokalu rozrywkowego nawiązującego do tradycji przedwojennej warszawskiej „Adrii”. „Znaki” Artura Tyszkiewicza powstały według opartej na wydumanym koncepcie sztuki Jarosława Jakubowskiego.

„Wieczernik” Krzysztofa Tchórzewskiego, według religijnego poematu dramatycznego Ernesta Brylla, nawiązuje oczywiście do motywu Zmartwychwstania. „Komedia romantyczna” Marka Bukowskiego, to fantazyjna opowieść nawiązująca do motywów biografii Tadeusza Dołęgi-Mostowicza. „Imperium” Roberta Talarczyka według sztuki Wojciecha Tomczyka, to powrót do najbardziej tendencyjnej publicystyki historycznej w duchu apologii II Rzeczypospolitej.

„Oskar dla Emily” Jacka Kaduczaka według tekstu Alexa Alexy’ego, to druga w tym roku banalna konfekcja o tematyce małżeńskiej, kwalifikująca się raczej do obyczajowego serialu, a nie do Teatru Telewizji. „Inny świat” Igora Gorzkowskiego według Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, to znów widowisko historyczne podejmujące temat, którego nie trzeba tu objaśniać, o wymowie humanistycznej, ale też żadną miarą nie teatr.

„Dzień gniewu” Jacka Raginisa-Królikiewicza według sztuki Romana Brandstaettera dotyczy problematyki Holocaustu. „Fantazja polska”, to telewizyjna realizacja przedstawienia teatralnego osnuta wokół działalności Ignacego Jana Paderewskiego u progu odzyskania niepodległości przez Polskę czyli publicystyka historyczna. „Ostatnia bitwa” Mariusza Malca według tekstu Piotra Derewendy, to z kolei publicystyka historyczna osadzona akcją u schyłku PRL.

Nie zamierzam ryczałtowo deprecjonować tych przedstawień. Część z ich, jako się rzekło, została zrealizowana na przyzwoitym poziomie warsztatowym.

Niektóre spektakle spektakli zrealizowali uznani twórcy jak Maciej Wojtyuszko, Wojciech Adamczyk czy Wawrzyniec Kostrzewski. Pojawili się cenieni autorzy jak Roman Brandstaetter czy Ernest Bryll i kilka ważnych, historycznych nazwisk oraz postaci. Pojawiło się też kilka nowych, obiecujących nazwisk reżyserskich, pokaźne grono aktorów stworzyło ciekawe kreacje, a przesłanie części tych przedstawień jest interesujące czy szlachetne.

Tylko gdzie w tym wszystkim teatr, sztuka, której podstawą jest tekst o konstrukcji dramatycznej, z konfliktem racji, a jego esencją jest odczytywanie sensów przez inscenizatora?

W prawdziwym, rudymmentarnym teatrze, z definicji, nic nie jest rozstrzygnięte przed ostatecznym „opadnięciem kurtyny”, a czasem i po jej „opadnięciu”. Nawet, wbrew obiegowemu powiedzeniu, strzelba ze ściany nie musi być użyta.

To teatralna „klasyczna definicja prawdy”. Tam gdzie racje moralne i wszelkie inne są z góry rozdane przez historię i autora tekstu czy spektaklu, lub gdy sporu racji w przedstawieniu nie ma – także dramatu, a zatem teatru nie ma. Definicji teatru tak pojętego nie wypełnia żadne z wymienionych przedstawień.

Klasyka – na lekarstwo i na odczepne

Poza tym, teatr to jednak przede wszystkim realizacje klasyki dramatu. Dzieje inscenizacji wielkiej dramaturgii, od tragików antycznych poprzez Szekspira i Moliера po dramat współczesny, ich kolejne, czasem sprzeczne lub polemiczne odczytania uwzględniające doświadczenia kolejnych epok, przemiany warunków ludzkiego bytowania, zmiany kulturowe, obyczajowe i psychologiczne (klasyczne już nowe „odczytywania” szekspirowskiego „Hamleta” w kolejnych epokach i pod różnymi kątami), to „crème de crème” sztuki teatru, to jej najbardziej

pasjonujący aspekt.

A co dostaliśmy od Teatru Telewizji z klasyki właśnie w minionym roku? „Chorego z urojenia” Moliera, „Aszantkę” Włodzimierza Perzyńskiego w reż. Jarosława Tumidajskiego, „Żabusie” Gabrieli Zapolskiej w reż. Anny Wieczurr-Bluszcz i niby współczesną, a klasyczną już „Czapę, czyli śmierć na raty” Janusza Krasińskiego w reżyserii Zbigniewa Lesienia.

Klasyka najwyższego kalibru

Cóż, „Chory z urojenia” to wielka klasyka, ale intelektualnie lżejszego kalibru, raczej ku ucieście niż namysłowi widza. „Aszantka” i „Żabusia”, to klasyka ze średniej półki polskiej, bez większej dziś siły rezonansu myślowego, realizowana raczej ku rozrywce niż namysłowi.

Z klasyki kalibru najwyższego otrzymaliśmy trzy interesujące artystycznie realizacje – „Wesela” Wyspiańskiego w reżyserii bardzo utalentowanego Wawrzyńca Kostrzewskiego, „Hamleta” w reżyserii Michała Kotańskiego oraz „W małym dworku” Witkacego w reżyserii niezawodnego w swoim zawodownictwie Jana Englerta.

Nie będę ich tu oceniał, bo nie one są przedmiotem niniejszego tekstu. Te trzy premiery były, w tych trzech przypadkach wywiązaniem się przez TVP z obowiązku misji kulturotwórczej, polegającej m.in. na przybliżaniu masowej widowni najcenniejszych zjawisk kultury. Jednak gołym okiem widać klucz według którego działa kierownictwo Teatru Telewizji.

Oto nie ma lepszego sposobu na wytrącenie argumentów z ręki krytykom, niż wypłacenie im zwyczajowego trybutu, czegoś „na odczepne”. Wielkiej klasyki światowej wam się zachciało? Macie więc dramat dramatów, „pik” (jak mawia prezes TVP Jacek Kurski) dramaturgii światowej, sam wielki „Hamlet” osobiście.

Marudzicie o wielką klasykę polską? Macie tu jeden arcydramatów narodowych, „Wesele”. Upominacie o klasykę

dramatu XX wiecznego i o zaspokojenie szczypty „snobizmu”? To macie Witkacego, nie „Gyubala Wahazara”, „Jana Macieja Karola Wścieklicę” czy „Mątwę” co prawda, lecz nieco mniej ważne, acz wybitne „W małym dworku”. To co uderza jednak uderza, gdy się wspomina listę przedstawień w 2019 roku, to jej totalny prowincjonalizm.

Poza zainteresowaniem kierownictwa Teatru Telewizji (nie pierwszy zresztą raz) znalazła się cała wielka tradycja dramaturgii europejskiej i światowej. Nie można wszystkiego „opędzić”, zekspluować jedną inscenizacją „Hamleta” i „Chorym z urojenia” Moliera. Nie było bowiem ani jednej realizacji dramatu antycznego (Ajschylos, Eurypides, Sofokles, komediopisarz Arystofanes), poza Szekspirem nie zainteresowano się żadnym dramatopisarzem z epoki renesansu, jak choćby Christopher Marlowe czy Calderon de la Barca. Nie było ani jednej realizacji z kręgu francuskiego klasycyzmu (Racine, Corneille).

Głęboki prowincjonalizm myślowy

Nie było ani jednej realizacji z kręgu dramaturgii XVIII wieku (Beaumarchais czy Marivaux). Nie zechciało kierownictwo Teatru Telewizji zajrzeć do słowników dramaturgii europejskiej i światowej XIX i XX wieku, by przypomnieć sobie nazwiska romantyków francuskich, Hugo czy de Musseta, wielkich naturalistów ze Skandynawii – Strindberga czy Ibsena, kogoś z wielkich Rosjan XIX wieku, choćby Czechowa, także psychologiczny dramat Pirandella, czy symboliczny Maeterlincka, a także dużo późniejszych twórców teatru absurdu, Becketta, Ghelderode’a czy Ionesco (a przecież choćby „Końcówka” tego pierwszego, czy „Nosorożec” tego ostatniego, to utwory, które nabrały w naszym czasie, ponownej, bardzo niepokojącej aktualności), francuskiego egzystencjalizmu Geneta, Sartre’a, amerykańskich naturalistów (Williamsa, Wildera czy O’Neilla). Bez wątpienia można.

Dowodem na głęboki prowincjonalizm myślowy kierownictwa Teatru Telewizji jest także brak realizacji współczesnych polskich klasyków, jak Gombrowicz, Mroźek czy Różewicz.

To tylko garść pierwszych z brzegu wielkich nazwisk z wysokiej półki, nie ma sensu ich tu mnożyć, bo nie piszę leksykonu dramaturgii. A przecież można by także wymienić całkiem sporą listę współczesnych autorów dramatycznych, polskich i obcych, z dwóch-trzech kolejnych pokoleń.

Wybitny znawca teatru, krytyk i prezes polskiej sekcji prestiżowego Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyki Teatralnej, redaktor Tomasz Miłkowski jest tu ode mnie nieporównywalnie bardziej kompetentny.

Tymczasem w uważanej za odciętą od świata PRL Teatr Telewizji był w swoim repertuarze europejski i światowy w stopniu, o jakim dziś możemy tylko pomarzyć. Przy czym nie chodzi tu o jakieś ożywianie „staroci” czy dramaturgicznych archiwaliów. Jak pisał jeden z najwybitniejszych krytyków teatralnych XX wieku Konstanty Puzyna, teatr żywy to taki, który „uznaje jedynie czas teraźniejszy”.

Jednostronnie zideologizowana wymowa

A o czasie teraźniejszym można mówić zarówno przez klasykę dawną i najdawniejszą, przez klasykę współczesną, jak i przez dramat tworzony współcześnie. Jak we wstępie do tomu jego tekstów („Czasem coś żywego”) napisała Joanna Krakowska, podstawowym, najważniejszym dla Puzyny kryterium dla teatru był „nie profesjonalizm, estetyczna jakość czy nowatorstwo, lecz współbrzmienie z tym, co do teatru przyniesione zostało z zewnątrz”.

Zamiast tego wszystkiego kierownictwo Teatru Telewizji poza konfekcją obyczajowo-komediową, serwuje nam głównie

parateatralne widowiska historyczne o jednostronnie zideologizowanej wymowie.

Rozumiem, że „polityka historyczna”, czyli indoktrynacja ideologiczna widzów, to oczko w głowie TVP i jej prezesa, w ścisłej zgodzie z dyspozycjami z centrali przy Nowogrodzkiej.

Proponuję im więc grać w otwarte karty: stworzyć w Jedynce lub Dwójce stosowny cykl pod nazwą „Polityka historyczna PiS w obrazach” i tam serwować „historyczne” widowiska. Teatr Telewizji natomiast niech zostawia w spokoju i pozwoli przywrócić przypisaną mu już u jego źródeł w połowie lat pięćdziesiątych rolę instytucji upowszechniającej wiedzę i kulturę teatralną.

Wprost podsuwam konkretny pomysł. Jeśli władze TVP chcą okazać dobrą wolę i udowodnić, że na serio traktują publiczny charakter tej telewizji, to niech „odstąpią” Teatr Telewizji twórcom sympatyzującym z opozycją i pozwolą im autonomiczne kształtowanie tej sceny.

Byłby to test na szczerłość deklaracji prezesa Kurskiego, że TVP to publiczna, ogólnospołeczna, a nie tylko partyjna, pisowska telewizja.

Nie mam złudzeń, co do skutków tego głosu wołającego na ulicy Woronicza 17, ale wołać trzeba.

Autorstwo: Krzysztof Lubczyński

Źródło: Trybuna.info